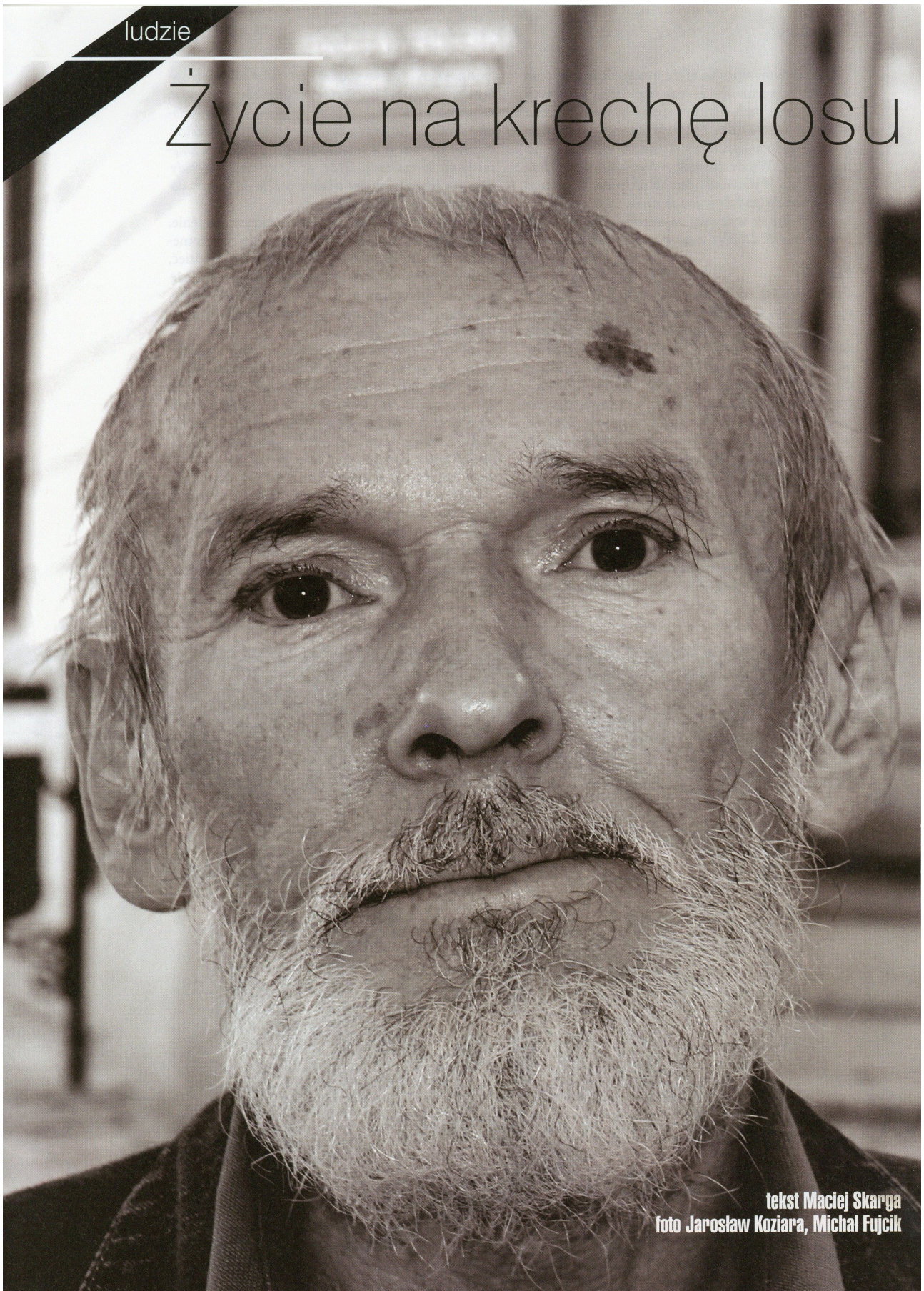


ludzie

Życie na kreczę losu



tekst Maciej Skarga
foto Jarosław Koziara, Michał Fucik



ndrzej

ot, wbrew temu, co niektórzy próbowali o nim mówić, nigdy nie lubił samotności. I kiedy pojawiał się wśród ludzi, toczył długie rozmowy na temat życia i sztuki. Jednocześnie obserwował ich reakcje na różne sytuacje życiowe.

Był natomiast indywidualistą. Pochylając się bowiem nad kartą papieru i prowadząc po niej linię, a czasem dodając do niej jakieś słowo, wyłączał się z otaczającego go świata, zostając tylko sam ze sobą.

W niewielkiej pracowni plastycznej na pierwszy rzut oka panował chaos. Kolorowe czasopisma, rysunki, wizytówki, ekslibrisy, plakaty, grafiki, ilustrowane książki dla dzieci, a nawet koszulki z nadrukami kupowane w lumpeksach mieszały się z rzeczami osobistymi. Był to jednak pozór, bowiem jej właściciel doskonale wiedział, gdzie co leży. Natomiast w jednym osoblwym miejscu, na niewielkim blacie, zaznaczał się, rzec można, pewien porządek. Leżały na nim ołówki, piórka, stalówki, obsadki, a obok nich stały tusze. Otaczały je papiery różnych rozmiarów i grubości. Wszystko najwyższej jakości. To skarby. Niektóre jeszcze z czasów, gdy produkowano je w Polsce, dorównując zachodnim standardom. Inne zaś nadsyłane z różnych zakątków świata w zamian za podarowane grafiki.

Wśród tego papierowego świata drobna postać pochylona nad kolejną kartą. Przykłada do niej rysik, stalówkę z tuszem lub oówek i bez przerywania, jednym pociągnięciem wprawnej dłoni prowadzi linię, z której nagle wyłania się opowieść. Niczego nie poprawia. Tworzy grafikę, ilustracje, plakaty i ekslibrisy. Czasem wprowadza do nich jakiś tekst, który sam układa. Wtedy wnika w strukturę liter i po mistrzowsku łączy je z rysunkiem. Są zazwyczaj w jednej tonacji. Tak potrafi tylko utalentowany kaligraf i grafik, który wypracował sobie niepowtarzalny styl i swoją sztukę doprowadził do perfekcji. – *Grafika jest dla mnie sposobem na życie* – powiedział w trakcie naszej ostatniej z nim rozmowy. – *Można w niej wszystko powiedzieć jedną kreską przez skrót w rysunku, linie czy znaki. Nie wszyscy graficy to potrafią, ale mnie wychodzi. Wypracowałem swój styl. Często po rozpoczęciu rysunku nie przerywałem prowadzenia linii i robiła się z tego jakaś historia. Do tego elementy z kaligrafii, a czasem jakieś słowo i arkusik kaligraficzno-graficzny najczęściej był gotowy. Zrobiłem ich wiele, wpisując do nich swoje komentarze, zwłaszcza rymowanki. Ludzi nigdy nie portretowałem. Zawsze lubiłem jednak słuchać ich rozmów, widzieć ich reakcje i utrwaląłem to graficznie na papierze. To moja pasja. Rysował – bo musiał. To była forma jego ratunku przed rzeczywistością. Od 1974 roku bowiem zmagam się ze schizofrenią. I chociaż dzięki lekom jego wizyty w szpitalu nie były częste, a przez dziewięć ostatnich lat w ogóle tam się nie pojawił, to stan ten nie pozwalał mu o sobie zapomnieć.*

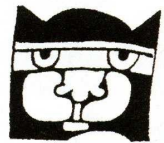
Często zatem odwiedzał swego brata Zbigniewa, także grafika, mieszkającego w Grodzisku. Był z nim bardzo związany emocjonalnie. Nie tylko z powodu rodzinnego związku, ale i wspólnych artystycznych dokonań. Bywało, że przebywał u niego po kilka miesięcy, a raz zdarzyło się, że i dwa lata. Co jakiś

czas zaglądał także do drugiego brata, Zdzisława, mieszkającego w Lublinie. Miał również trójkę najbliższych sobie lubelskich przyjaciół: Urszulę Kozak, często pomagającą mu np. w organizowaniu wystaw, i Magdę Kielkiewicz oraz Ireneusza Madeja, prowadzących przy Krakowskim Przedmieściu pracownię Info-art. Przez dwadzieścia lat służyli mu opieką i pomagali w rozwiązywaniu codziennych problemów. Każdego ranka wychodził z domu, zabierając ze sobą worek, a w nim swój warsztacik, jak sam to określał, czyli przybory do rysowania i różne gatunki papieru. Najpierw herbata w Bibliotece u Urszuli, a potem do wieczora czas pracy i rozmów w Info-arcie. Tu powstawały jego rysunki.

– *Najpierw poznałam jego prace* – mówi pani Magda. – *Ale gdy już osobiście poznałam ich autora, to on stał się dla mnie nawet ważniejszy. Był tak wspaniałym, ciepłym, cudownym i szlachetnym człowiekiem, że obawiam się, iż takiego już więcej nie poznam. Miał wielką wyobraźnię, spostrzegawczość, niesamowitą wrażliwość i szalenie bogate wnętrze. I to wszystko widać w jego sztuce. Był nad wyraz skromny. Nigdy się nie złościł. Nie miał do nikogo pretensji ani żalu. A jak ktoś mu dopieknął, to generalnie kończył z nim wszelką znajomość i tyle.* – *Traktowaliśmy go* – dodaje pan Ireneusz – *jako niezwykłego człowieka. I zawsze dobrą duszę w tej naszej pracowni.*

Zanim zaczął realizować rysunek, zachwycał się posiadanymi kartami papieru. Dotykał ich. Brał w dłonie, kierując pod światło i sprawdzając ich strukturę. Stalówki i piórka przymierzał do karty na sucho. Do swego warsztatu podchodził z pietyzmem. A kiedy już zaczął rysować, miał w oczach i rękach projektowanie drukarskie. Uwielbiał typografię, ale traktował ją po swojemu. Idealnie dbał o utrzymanie równowagi między czernią i bielą. Tak precyzyjnie konstruował przestrzeń, że tekst i rysunek były jednakowo wyraziste. Kiedy robił na zamówienie ekslibrisy ze znakami zodiaku, które podporządkowywał ludziom, nigdy nie robił tego w sposób identyczny. Nazywał siebie sejsmografikiem. Lokalnym i autorskim. Dla niego liczyła się chwila, na którą reagował.

– *Wielokrotnie spotykałem się z nim w jego pracowni na Starym Mieście* – wspomina aktor Zbyszek Wilczek. – *I często było tak, że naraz wyłączał się ze spotkania, odwracał do swego stołu i robił kolejny rysunek. Wpadał w niewiarygodny stan skupienia. Najczęściej używał piórka i rysował oraz pisał. Pięknie pisał. Z ówczesnych stalówek do pisania lubił bardzo tzw. krzyżówkę. Najbardziej ceniał w nim to, że w tym, co robił, był wielce oddany swojej pracy i w niej szalenie prawdziwy.*





Angelus 2007

Andrzej Kot urodzony w Lublinie wychowywał się na Starym Mieście na ulicy Grodzkiej 19. Jego pradziadek był rzeźbiarzem. Robił świątki i zabawki dla dzieci. Krążył z tym po jarmarkach. Krewny Franek Szczygieł spod Lubartowa – rzeźbił kamienie polne. Słowem do sztuki nie było mu daleko, a jeszcze bliżej, bo dosłownie dwa kroki z bramy, do lubelskiego Liceum Sztuk Plastycznych. Tam więc rozpoczął naukę, ale z powodu miernych wyników w przedmiotach ogólnych po trzech latach opuścił te mury i chciał nie chciał, poszedł w tzw. kamasze. Po odbyciu dwuletniej służby wojskowej (był tam dekoratorem) trafił do drukarni Lubelskich Zakładów Graficznych przy ul. Unickiej. Tam poznał tajniki czarnej sztuki drukarskiej, tajemnice czcionek i znaków drukarskich. Uzyskał dyplom i został wyzwolony jako zecer. Wtedy rozmyślał się w literze i ręcznej kaligrafii – jak sam powiadał. Pierwszą swoją pracownię plastyczną dzielił z bratem Zbigniewem w piwnicy ich domu przy ulicy Grodzkiej. Potem otrzymali pomieszczenie w tym samym budynku nad ich mieszkaniem. Natomiast po wielu latach, gdy Zbigniew skończył ASP i wyjechał z Lublina, a z Grodzkiej trzeba było się wyprowadzić, Związek Artystów Plastyków przyznał Andrzejowi pracownię w bloku przy ulicy Głębokiej w Lublinie. W tym niewielkim pomieszczeniu z aneksem kuchennym mieszkał i pracował, zwłaszcza nocami, do ostatniej chwili życia. Zawsze sam sprzątał te pomieszczenia z obawy, że ktoś mógłby mu namieszać i wtedy miałby problem ze znalezieniem czegokolwiek. Najczęściej robił także zakupy. Był samodzielnym i nigdy nie pozwalał nikomu ograniczać jego swobody.

Przez wiele lat współpracował z Wojewódzkim Domem Kultury, projektując i wydając tam jedyne w swoim rodzaju typograficzne druki okolicznościowe. Jego fascynacje artystyczne, co wielokrotnie ostatnio podkreślał, wiązały się z twórczością Jana Młodożeńca, Jerzego Jaworowskiego, Janusza Stanego, Leona Urbańskiego, Jana Lenicy i Adama Kiliana. Wielokrotnie był u nich, podpatrywał i uczył się. Z nich promieniowała jego twórczość, jak wielokrotnie podkreślał. I tak zrodził się w Lublinie świetny grafik i jeden z ostatnich znakomitych typografów. Sam rozsyłał grube pliki swoich – jak mawiał – „różności” – po całym świecie. W 1981 r. zdobył złoty medal na Międzynarodowym Biennale Ekslibrisu Współczesnego w Malborku. Jego prace ukazały się w „Scriptura Calendar” niemieckiego Muzeum Gutenberga w Moguncji i prezentowano je poza tym, m.in. w Hamburgu, Rödental, Mainz i Heidelbergu (Niemcy), w stanie Illinois (USA) oraz w Oxfordzie (Wielka Brytania) i Japonii, gdzie w latach 80. XX wieku wydano poświęcony mu album. Plakaty, ekslibrisy, kaligrafie jego autorstwa posiadają m.in. Biblioteka Narodowa w Warszawie i Biblioteka Ossolińskich we Wrocławiu. 27 stycznia 2008 roku dostał nagrodę Lubelskiego Angelusa w kategorii: Artysta roku 2007. Natomiast ostatnią wystawę miał w bibliotecznej Galerii OKNA w lubelskim Centrum Kultury i zatytułował ją wierszykiem: Pstro, Pstrawo, Pstrokatato, Krople, Kolorów, Lato. Wyjątkowo otrzymał wtedy dyplom i miejską nagrodę pieniężną.

Mimo takiej sławy właściwie więc niczego się nie dorobił. Był, co prawda, taki czas, kiedy otrzymywał gratyfikacje za publikacje jego grafiki za granicą, a np. Biblioteka Narodowa zapłaciła mu za pracę włączoną





do swoich zbiorów. Czasem dostawał także paczki od kolekcjonerów, którym wysyłał swoje grafiki. Ale ten okres szybko jakoś się skończył. Natomiast lokalnie bardzo często albo mu niektórzy zupełnie nie płacili, albo o wiele mniejszą kwotę niż umówiona. Miał jednak honor i nigdy się o swoje nie upominał. Na pytanie zaś o honorarium często odpowiadał: jaka hojność. No i wtedy niestety owa hojność nie była zbyt wielka. Poza tym niemal bez przerwy rozdawał swoje prace za darmo, właściwie każdemu, z kim się tylko zetknął.

Słowem, żył raczej bardziej niż skromnie i można by powiedzieć, że często na krechę własnego losu. Jego renta i późniejsza emerytura nie dawały bowiem żadnej szansy wyjścia z socjalnego dołka. Artysta o światowym rozgłosie w ciągu pięćdziesięciu lat swojej twórczości nie doczekał się również ze strony władz Lublina wydania albumu swoich prac, co przecież byłoby doskonałym przyczynkiem do promocji naszego miasta.

Radość tworzenia

– *Gdybym miał określić Andrzeja – mówi artysta plastyk Jarosław Koziaara – użyłbym przewrotnie dowcipu o Wani, który ujrzawszy w ZOO żyrafę, powiedział, że takich zwierząt przecież nie ma. I rzeczywiście, takich „zwierząt” jak Kot już nie ma. Był bowiem postacią absolutnie wyjątkową, zarówno pod względem talentu, jak też i zachowania oraz stylu bycia. Miał np. tak*

silną determinację w projektowaniu, że tak naprawdę nie było dla niego ważne, dla kogo wykonywał prace. We wszystkim, co robił, widać było, przede wszystkim, radość tworzenia. Gdyby zrobić porównanie z Picassem – On nie szukał, On znajdował. Był to na pewno unikat i dlatego postanowiłem wydać poświęcony mu album, który w sposób usystematyzowany zawrze jego twórczość.

Rzeczywiście będzie to wreszcie pierwsze tak obszerne wydawnictwo z pracami Andrzeja Kota. Dwieście stron w powiększonym formacie A4 i na porządnym papierze. Nie ograniczy się tylko do ekslibrisów. Będą w nim karty okolicznościowe, ulotne druki, plakaty, akcydensy, wizytówki i zaproszenia na śluby. Znajdą w nim również swoje miejsce drobne formy graficzne, kaligraficzne i kroje pisma, które projektował. Wydanie to powinno ukazać się w tym roku. Być może w niedalekiej przyszłości będzie także jego kontynuacja i wyjdą kolejne tomy. To jednak warunkuje nie tylko zebranie dalszych prac Andrzeja Kota, ale i możliwość uzyskania odpowiednich środków finansowych. Na razie na złożenie pierwszego tomu Urząd Miasta przyznał stypendium. Natomiast pieniądze na druk będą zbierane ze sprzedaży tzw. cegiełek, którymi staną się grafiki Kota wydrukowane w dużym formacie B1. Powstaje również strona internetowa dokumentująca na bieżąco przebieg tych prac.

Na swoją realizację czeka także inny pomysł Jarosława Koziaary. Chodzi o możliwość wymalowania

graffiti na elewacji kamienicy tuż przy bramie na Grodzkiej 19, gdzie wychowywał się Andrzej Kot. Punktem wyjścia dla tego obrazu byłyby oczywiście jego grafiki.

– *Zależy mi na tym – podkreśla Koziara – żeby nie tylko zachować pamięć o Andrzeju Kocie, ale i podkreślić, że porównywanie jego twórczości, co czasem niestety się zdarza, z twórczością naiwnych artystów jest nie na miejscu. Zresztą on sam nigdy się z tym nie utożsamiał i na takie próby się wręcz obrażał. Nie zdobył, co prawda, wykształcenia szkolnego i akademickiego w tym względzie, ale pracował wśród zawodowców. Podglądał ich i uczył się od nich. Jego rzeczy w formie i treści nigdy nie były banalne, chociaż z pozoru wydają się być bardzo proste. To, co jednak na pierwszy rzut oka wydaje się w nich oczywiste, po głębszym zastanowieniu się już takim jednoznacznym i oczywistym nie jest. Uważam, że Kot powinien wejść do kanonu historii sztuki.*

Bidofil

Andrzej Kot był zecerem, a został grafikiem. Tworzenie sprawiało mu radość. Nie tylko w grafice. Bardzo lubił także, nawet przez godzinę, przerywać rozmowy swoimi żartobliwymi wierszykami tworzonymi a vista. Nie wszystkie zapisywał. Nawet o to nie dbał. Często komentował nimi rysunki, a tym samym i otaczającą go rzeczywistość. Miał jeden stały motyw – kota i myszkę, który zawsze gdzieś przemycił, nawet w miniaturach graficznych.

Ale jakże mogło być inaczej, skoro godnie nosił nazwisko Kot. Bawił się tym świetnie i wymyślił swoje motto: *Andrzej Kot Psot z Lublina to takie zwierzę, żyje na Grodzkiej, a mnoży się na papierze*. Znanie jest także jego powiedzenie: *Prawdziwa cnotka nie boi się kotka*. Na jego pracach możemy przeczytać: *kara chłosty za krosty, za tą radość na papierze – pieniążki się bierze, czy też – dziewczynki dla was schaby, boczeki, szynki, a mnie tylko okruszynki – BIDOFIL*. Najbliższą mu bowiem była satyra graficzna. Taka z przymrużeniem oka, bo taki miał charakter. Ten mistrz małych form graficznych stworzył własny indywidualny styl i krój liter alfabetu, który nazwał „Kocie żarty”. Zaprojektował oryginalne alfabety pod nazwami: Ot-Kot, Lot-Kot, Iza (alfabet polski o motywach hebrajskich), Neo, Leotywy, Kozina (koko-grafia). Ilustrował również m.in. książki noblisty Czesława Miłosza i *Treny* Jana Kochanowskiego. Jego ekslibrisy są stale poszukiwane przez kolekcjonerów.

Zajęty jednak swoim światem sztuki nie przykładał wagi do dolegliwości, które naraz zaczęły nękać jego ciało. Wreszcie za namową przyjaciół dał się przebadać. Diagnoza była najgorsza z możliwych – nowotwór płuc z przerzutami. Przyjęto go do szpitala i dopiero wtedy z powodu zanikania czucia w palcach po raz pierwszy przestał rysować.

Był tam dwa miesiące i 17 lutego, jak każdy kot, który zawsze chadza własnymi drogami, wyruszył w ostatnią. Już nie wrócił. 🐾

